

**Cristiano**

### **Obrazy przeszłości...**

Mam na imię Maciej, jestem uczniem klasy VIII Szkoły Podstawowej im. Ireny Kosmowskiej w Bieniowicach. W pracy opisałem oparte na faktach dzieciństwo i lata młodości pana Stanisława Mazura, który zamieszkiwał przed wojną tereny dawnej Polski - obecnie Ukrainy. Podczas naszej rozmowy miałem okazję dowiedzieć się o niezwykle trudnej i przejmującej rzeczywistości drugiej wojny światowej oraz niełatwym losie przesiedleńca. Mój rozmówca mimo upływu lat, starał się bardzo dokładnie przywoływać w swej pamięci wspomnienia z tamtego okresu. Mówiąc o swoich bliskich starał się opisać ich w najdrobniejszych szczegółach, jakby chciał, by każdy czytający tą historię, mógł ją przeżywać podobnie, jak on sam. Domyślałem się, że nie było to dla niego łatwe...

\*\*\*

Nazywam się Stanisław Mazur. Urodziłem się 20 marca 1941 roku w Dawidowie w okręgu Winniki, w domu wybudowanym przez mojego dziadka Antoniego Korzeniowskiego, który na początku 1935 roku nagle zmarł. Zgodnie z prawem rosyjskim miałem trzy imiona: po ojcu, po dziadku i swoje. Nazywałem się Stanisław Anton Karolewicz Mazur. Na moim dokumencie chrztu było godło Związku Radzieckiego, sierp i młot oraz napis „*Proletariusze wszystkich krajów łączcie się*”.

Z tego co pamiętam, w mojej miejscowości znajdowała się górka, a obok niej przepływała rzeka Dawidówka. Było to moje ulubione miejsce zabaw. Latem, gdy było ciepło, wraz z innymi dziećmi urządzaliśmy w niej kąpiele. Dwieście metrów od naszego domu znajdowała się stacja kolejowa. Jeździł tam pociąg relacji Lwów- Stanisławów. Lubiłem go obserwować. Z ciekawością patrzyłem na wsiadających do pociągu ludzi. Z dzieciństwa pamiętam też do dziś, takie moje pierwsze marzenie, a mianowicie... mój sąsiad Władek Brożko miał prawdziwe sanki, a ja niestety miałem tylko kulbakę, czyli metalowe siodło. Bardzo mu tych sanek zazdrościłem, chciałem mieć takie same.

Rodzina ze strony mojej mamy Stanisławy Mazur z domu Korzeniowska składała się z trzech osób: mojej mamy Stanisławy - Kazi Korzeniowskiej i Piotra Korzeniowskiego oraz dziadka Antoniego, który pracował w policji państwowej. Moja babcia była gospodynią domową. Na co dzień zajmowała się domem i całym obejściem.

Natomiast ze strony ojca Karola rodzina składała się z pięciu osób: Karola, Józka oraz trzech cioć: Katarzyny, Wiktorii i Tekli.

\*\*\*

Wszyscy przeżyli z wyjątkiem mojego wujka Piotra. W dniach 18-19 września 1939 roku, po tym jak 17 września Rosja wypowiedziała wojnę II Rzeczypospolitej Polskiej i na jej tereny wkroczyli bardzo szybko Rosjanie, wujek wraz z kolegami uciekł z kraju do Rumunii. Tam po pewnym czasie został złapany przez Rosjan, po czym przewieziony przez nich na teren lwowski. Osadzono go w tak zwanych komandach roboczych. Panował tam straszny głód i brud, dlatego moja mama dowoziła mu ubranie na zmianę i jedzenie. Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej w 1941 roku, wujek został przymusowo wcielony do Armii Czerwonej. Doskonale znał się na mechanice, dlatego dostał przydział czołgisty. W jednej z walk czołg został ostrzelany i spłonął. Wujek zginął na miejscu. Zdarzyło się to koło Kijowa. Informacje te uzyskaliśmy po latach od jego kolegów.

\*\*\*

Konferencja w Jałcie, a potem w Poczdamie w lutym 1945 r. ustalała, że tereny wschodnie Rzeczypospolitej miały być przyłączone do Ukrainy, która wtedy nie była samodzielnym państwem, tylko jedną z republik Związku Radzieckiego. Postawiono nam warunek, że albo wyjedziemy na ziemie zachodnie albo przyjmiemy obywatelstwo radzieckie. My czuliśmy się Polakami, obywatelami Polski, dlatego postanowiliśmy wyjechać. Wszyscy dążyli do wyjazdu, z wyjątkiem Józka - mojego chrzestnego.

Józef został, ożenił się i nie chciał iść na front. Poszedł do tzw. oddziału samoobrony tworzonego przez Rosjan, którego zadaniem było pilnowanie porządku, zapobieganie napadom i grabieżom. Zginął wraz z kolegami w 1944 roku w niewyjaśnionych okolicznościach, niedaleko domu. Przyczynili się do tego Ukraińcy albo nasi. Jego grób znajdował się przez jakiś czas obok kościoła w Dawidowie, ale w latach sześćdziesiątych został zniwelowany, gdyż zaczęto tam chować Ukraińców. Groby Polaków zlikwidowano i przeniesiono na nowy cmentarz.

### ***Wyjechaliśmy ostatnim transportem ...***

Miałem wtedy ponad pięć lat. Z tego względu, że w Dawidowie, przy stacji nie było rampy, która była potrzebna ludziom do przewozu całego dobytku, wyjechaliśmy z Lwowa. Przewożono wszystko, co było możliwe: wozy, konie, krowy, narzędzia i urządzenia rolnicze

typu pług. My wyjeżdżaliśmy rok po zakończeniu wojny w 1946 roku, gdy już panował względny spokój. W gorszej sytuacji byli ci, którzy wyjechali wcześniej. Często byli napadani i okradani przez rosyjskich i ukraińskich żołnierzy. To była długa podróż, którą utrudniały dodatkowo zdewastowane tory i stacje. Wagon nasz był wyposażony w piecyk, który stał blisko drzwi. Rura piecyka na zewnątrz wychodziła lufterem. Piecyk służył nam do gotowania pożywienia w czasie podróży. Ubrania i pościel przewoziliśmy w kufrach. Miałem też ze sobą huculski koc, tzn. koc wełniany, robiony z wełny owiec. Pamiętam, że mój był kolorowy i to nim się przykrywałem, gdy było mi zimno.

W tym czasie miało miejsce jedno bardzo ważne dla mnie wydarzenie. Wyjechaliśmy w kwietniu w 1946 roku i wtedy też po raz pierwszy spotkałem ojca. Spotkałem go w okolicach Krakowa, w zasadzie to mama mi go pokazała. Do spotkania doszło tylko dlatego, że akurat przecięły się nasze drogi w podróży - naszej na zachód i oddziału ojca, wracającego z Baligrodu.

### ***Po długiej podróży dotarliśmy do Szczytnik...***

Jak się okazało, mieszkały tam już inne polskie rodziny, między innymi rodzina Szparów, która zajmowała dom przeznaczony dla nas. Moja matka miała jednak dokumenty PUR - Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, a w nich napisane było, że dom numer 5 należy się osadnikowi wojskowemu, dlatego Szparowie musieli opuścić budynek, abyśmy my mogli w nim zamieszkać. Dom nie był duży. Były tam dwa pokoiki na dole, jeden na górze i komórka. Mieliśmy krowę, która była całym naszym majątkiem. Dostaliśmy też kawałek pola położonego za rzeką Młynówką. Na drugi brzeg rzeki przechodziło się po metalowej kładce. Nazwa rzeki pochodziła od młyna, który znajdował się we wsi. Młyn był duży, posiadał cztery elewatory. Działał na prąd albo turbinę wodną.

W młynie mieszkała rodzina mająca dzieci w moim wieku, dwóch chłopców i dziewczynkę. Często chodziłem tam się z nimi bawić lub napić wody. Było to o tyle wygodne, gdyż wewnątrz domu, w piwnicy znajdowała się cembrowana studnia. Nieopodal młyna płynęła rzeczka, w której można było łowić ryby. Młynarz miał dużo roboty, ponieważ zboże na przemiał przywożono ze wszystkich okolicznych miejscowości. We wsi był też sklep, do którego jako dziecko lubiłem chodzić, przeważnie po cukierki i lemoniadę, którą sprzedawano w butelce zamykanej na zawleczkę. Lemoniada cieszyła się wtedy dużą popularnością. Często też chodziliśmy do znajdującego się we wsi ruin zamku. Tam

bawiliśmy się w chowanego. Za zamkiem płynęła rzeczka, dalej znajdowała się wysepka, a na niej prawdopodobnie cmentarz właścicieli zamku. Zamek w 1949 roku został spalony.

### *Była mama, moja ciotka - siostra mamy i ja ...*

Ojciec mój w tym czasie przebywał w Bieszczadach. W 1944 roku był przedwojennym podoficerem. Walczył w 1939 roku w obronie Lwowa, walczył na cmentarzu żydowskim, tam też jego oddział został rozbity przez Niemców. Niemieckie wojska niedługo potem się wycofały, a po nich weszli Rosjanie.

Ojciec mój został powołany do Frontowej Oficerskiej Szkoły w Lublinie. Szkoła ta trwała 3-4 miesiące. Po jej ukończeniu otrzymał stopień chorążego i przydział do plutonu granatników II armii Wojska Polskiego, która akurat szła w kierunku Zgorzelca, by walczyć w Budziszynie. Następnie jego oddział został skierowany na wschód. Przez dwa lata stacjonował w Baligrodzie, w Bieszczadach gdyż tam ukraińskie oddziały powstańczej armii prowadziły działalność sabotażową i terror wśród ludzi.

\*\*\*

Dnia 1 września 1948 roku mama zaprowadziła mnie do szkoły i tak rozpocząłem naukę w Szkole Podstawowej w Bieniowicach. Budynek szkoły był nieduży. Klasy były połączone, I-II klasa, III- IV klasa i V. W szkole znajdowała się też kancelaria.

Największą przyjemność sprawiało mi to, że wraz z kolegami chodziłem do niej pieszo, a po drodze można było pobawić się przy przydrożnych stawikach. Nieraz wracaliśmy do domu mokrzy i zachlapani błotem. I komunię świętą przyjąłem w 1950 roku w Kościele w Bieniowicach.

Po ukończeniu klasy V, zamiast tak jak moi koledzy, rozpocząć naukę w Szkole Podstawowej w Spalanej, bo do jej okręgu przynależała moja miejscowość, od 1953 roku do 1955 roku chodziłem do Szkoły Podstawowej nr.1 w Legnicy mieszczącej się przy ulicy Kamiennej. Załatwił mi to ojciec. Czas spędzony w szkole wspominam bardzo miło, tym bardziej, że budynek szkoły położony był blisko stacji kolejowej. Po skończonych lekcjach często chodziliśmy na ulicę Świerczewskiego, gdzie znajdowały się koszary. Stacjonowało tam wojsko polskie i wojsko radzieckie. Lubiliśmy obserwować startujące z lotniska samoloty. Nieraz nas stamtąd przeganiano, strasząc strzałami.

W 1955 roku rozpocząłem naukę w Technikum Handlowym (dzisiaj Technikum Ekonomiczne) w Legnicy, jednej z najlepszych w tamtym czasie szkół na terenie powiatu legnickiego. Bardzo przyjemnym wspomnieniem z lat mojej młodości była studniówka. Wszyscy uczniowie mieli na sobie typowe ubrania szkolne, dziewczynki - granatowe spódniczki, białe bluzki. Wysokie obcasy czy makijaże były zakazane. Chłopcy byli ubrani równie elegancko. W przerwach między tańcami były przyśpiewki dotyczące różnych przedmiotów. Jedliśmy kanapki, piliśmy barszczyk. Przyjęcie studniówkowe nie było drogie, płaciło się jedynie za orkiestrę. Po maturze mieliśmy się spotkać, ale każdy pojechał już w swoją stronę. Wszyscy byli zadowoleni, że skończyli naukę.

### ***Wybór drogi życiowej...***

Szkołę ukończyłem w 1959 roku. Nadszedł czas na wybór dalszej drogi życiowej i niestety źle wybrałem kierunek studiów – statystyka w Wyższej Szkole Ekonomicznej nie była tym, czym chciałem się tak naprawdę zajmować. Byłem bardzo słaby z matematyki, profesor śmiał się ze mnie, że nie umiem liczyć. Żartował, że dla mnie dwa razy dwa to dwadzieścia dwa i miał w tym trochę racji. W związku z tym nie pojechałem na dodatkowy egzamin z matematyki i postanowiłem pójść do pracy jako towaroznawca. Kompletnie się na tym nie znałem. W pewnym momencie praca się skończyła, stałem się chwilowo bezrobotny. Znajomi prowadzili magazyny, byłem magazynierem, następnie kierownikiem magazynu. Później poszedłem na emeryturę, gdy premierem był Cimoszewicz. Był wtedy okres zamykania zakładów, wielkich zwolnień, było duże bezrobocie, duże zakłady przestały istnieć. Kolega mnie namówił do pójścia na emeryturę. W wieku 56 lat przeszedłem na emeryturę, załatwiła mi to koleżanka. Wniosek zaakceptowali pozytywnie.

Pięknym wspomnieniem związanym z wyborem życiowej drogi było poznanie mojej żony. Przypadkowo, pojechałem do chrześniaka na święta do Rogowa. Franio Barowicz zaprosił mnie do swojej rodziny Samborskich, byli to niezwykle gościnni ludzie. Tam poznałem Janinę. Była młoda, zgrabna, ładna. Umówiliśmy się. Jasia chodziła jeszcze do szkoły, mieszkała w internacie. W 1967 roku pobraliśmy się - 56 lat jesteśmy razem!

### ***Zwyczaje kulturowe z dzieciństwa***

Moje wspomnienia z dzieciństwa wiążą się również ze zwyczajami i tradycjami. Większość z nich bardzo dobrze pamiętam, przywołują uśmiech na mojej twarzy, a także uczucie nostalgii. W związku z tym, że pochodzę z bardzo konserwatywnej i tradycyjnej rodziny, tradycje i obyczaje były w naszym domu bardzo kultywowane.

Z nostalgią wspominam okres Bożego Narodzenia. Dom przyozdabiany był wówczas odpowiednią dla świąt dekoracją, przynoszony był również snop słomy. Na stole wigilijnym królowały między innymi: karp i kutia, przygotowywana z pszenicy, miodu i bakalii. Kuchnia kresowa nie różni się od staropolskiej.

Chodziłem również po kolędzie. Zazwyczaj odgrywałem rolę marszałka króla Heroda. Wyglądałem bardzo ładnie. Ubrany byłem w zielony mundur z paskami bojowymi, granatowe spodnie z lampasami, a na głowie miałem wysoką czapkę z pięknym złotym orłem. Stroju dopełniały białe rękawice. Twarz miałem pomalowaną na biało. Posiadałem też prawdziwą szablę, którą załatwił mi ojciec. Chodziliśmy w 8-9 osób. Reżyserem całego przedstawienia był Rysio Szeremeta. W grupie mieliśmy żołnierza, trzech króli, Heroda, śmierć i dziada. Był też diabeł. Pamiętam dokładnie, który kolega odgrywał jaką rolę. Chodziliśmy po domach, pukaliśmy do drzwi i przedstawialiśmy widowisko. Ludzie chętnie nas u siebie gościli. Pewnego dnia mieliśmy pecha. Król Herod wpadł do rzeczki, w skutek czego był cały mokry i oblepiony nieczystościami. Były jednak takie czasy, że każdy chętnie pomagał. Sąsiadka pożyczyła nam kapę z nad łożka, buty, a ojciec mojego kolegi Franka oddał swoje spodnie. Mogliśmy kontynuować kolędowanie. Pieniędźmi dzieliliśmy się po równo. Wcześniej, gdy chodziliśmy po kolędzie we czwórkę, dziadek Mazur przygotowywał nam ruchomą gwiazdę, w środku której paliła się świeca. Chodziliśmy z nią od domu, do domu i śpiewaliśmy kolędy. Niektórzy brali ze sobą bęben.

Pamiętam też młodzińcze szaleństwa sylwestrowe. Mój kolega Szeremeta grał na bębnie, Grab na akordeonie. Ludzie odwiedzali się nawzajem, częstowano się naleweczką, śpiewane były lwowskie piosenki. Humory wszystkim dopisywały. Zabawy kończyły się nad ranem.

Z okresem świąt kojarzą mi się również pasterki. Jeździło się pociągiem do kościoła św. Jana w Legnicy, kościół był pełen ludzi. Widziałem oficerów armii radzieckiej w mundurach nawet na pasterce, widocznie byli to wierzący Rosjanie. Wszyscy ludzie szli w kościele na chór, tam była orkiestra kolejowa, kościół aż trząsł się od muzyki. Orkiestra była ogromna - wspaniałe przeżycie. Były długie kazania, msza odprawiana według łacińskich obrzędów, olbrzymia frekwencja, boczne nawy całe zapełnione, ludzie stali również na ulicy. Mężczyźni śpiewali nawet na głosy.

Okres młodości to także sport i zabawy. Moje bardzo miłe wspomnienia są związane z boiskiem. Często rozgrywałem mecze w młodości. Ubiory były ubogie. Grało się w

kalesonach, a zamiast tramppek na nogach mieliśmy półbuty! Mecze były rozgrywane na przykład w taki sposób: kawalerowie na żonaty albo żonaci starsi na młodszych. To była duża radość. Przy okazji ludzie grywali w karty, w siatkówkę. Była to forma spędzania wolnego czasu. Wszyscy się integrowali.

Urządzaliśmy także zabawy taneczne i wspólne kąpiele w Kaczawie. Kobiety kąpały się w halkach, chłopcy w kąpielówkach. Ludzie się wtedy nie nudzili. Było naprawdę dużo zabaw w Szczytnikach. Komitet Wiejski kupił nawet telewizor i pół wsi oglądało filmy grupowo. Był tylko jeden program, ludzie się bawili, niewiele trzeba było. Teraz świat bardzo się zmienił...

Nie było telewizji. Radio Pionier mieliśmy jako pierwsi, ale trzeba było mieć na nie talon. Tylko zasłużeni pracownicy dostawali taką możliwość. W latach pięćdziesiątych była moda na spotkania polityczne przy winie lub nalewce. Były rozmowy mężczyzn na temat sytuacji politycznej, przy tym dużo kłótni, ale i śpiewów pięknych ballad lwowskich.

Bardzo ważne są dla mnie zdjęcia z okresu dzieciństwa i młodości. To historia. Cenię bardzo te wspomnienia, na tej podstawie wiadomo, jak wyglądali rodzice, budynki, jak ja sam wyglądałem w dzieciństwie.



Fot. Dom Państwa Mazurów w Dawidowie.



Fot. Dom Państwa Korzeniowskich w Dawidowie.



Fot. Stanisława i Karol Mazurowie (1939 rok).



Fot. Karol Mazur (1945 rok).





Fot. Pani Stanisława Mazur z synami:  
Stanisławem, Adamem i Mieczysławem.



Fot. Pani Stanisława Mazur z synami:  
Stanisławem i Adamem (1952 rok).



Fot. Pan Stanisław Mazur (1962 rok).



Fot. Pan Stanisław Mazur podczas  
wyjazdu w delegację.



Fot. Ciocia Kazia podczas rozmowy z księdzem (Szczytniki nad Kaczawą).



Fot. Technikum Ekonomiczne w Legnicy.